

ALICIA VANDEROS

Róże jak motyle



Róże jak motyle

Lata 70. ubiegłego wieku. Alice, główna bohaterka powieści *Róże jak motyle*, pracuje w jednej z warszawskich kancelarii adwokackich. Marzy o podróżach, przygodach, wielkiej miłości. Zupełnie przypadkiem dostaje pracę stewardesy pokładowej w Polskich Linjach Lotniczych LOT. Zaczynają się wyjazdy służbowe i prywatne. Spotyka Szweda – Toma, lecz po kilku latach jej serce kradnie Greg. To z nim wyjeżdża do Szwajcarii i Monako. Wkrótce podczas ich wspólnego pobytu w Bejrucie poznaje egzotycznego Bernarda. Wraz z rodzącym się uczuciem wybucha wojna w Libanie. Czy Bernard pomoże Alice uciec do wolności? Barwne życie bohaterki pełne jest niespodzianek, miłości, przyjaźni, jednak nie brak w nim zakrętów losu. Czy z każdego uda się Alice wyjść cało?



Alicia Vanderos – ur. w 1953 roku, warszawianka o szlacheckich korzeniach, stewardesa pokładowa Polskich Linii Lotniczych LOT, restauratorka, kobieta biznesu. Powieść *Róże jak motyle* jest jej debiutem pisarskim, w którym dominują autobiograficzne wątki. Autorka bazuje na własnych przeżyciach, obserwacjach świata i ludzi. Jak w kalejdoskopie przenosimy się z komunistycznej Warszawy w różne zakątki globu. Od Szwecji, która jako pierwsza stała się dla Alicii Vanderos drugim domem, poprzez Szwajcarię, Monako, aż na Cypr. Ale mimo towarzyszącej nam na kartach powieści egzotyki – to miłość i jej różne oblicza są głównym tematem powieści.

PRZEJDŹ

do księgarni online:
www.sorus.pl

**Sorus**

ALICIA VANDEROS

Róże jak motyle



Poznań 2020

Redaktor prowadząca
Agata Sikorska

Redakcja
Izabela Dachtera-Wałędziak

Projekt okładki
Marcin Dolata

Skład
Maciej Torz

Copyright © by Alicia Vanderos 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-67737-74-6

Przygotowanie, druk i dystrybucja
Wydawnictwo Sorus
ul. Bóżnicza 15/6
61-751 Poznań
tel. (61) 653 01 43
sorus@sorus.pl

Księgarnia internetowa
www.sorus.pl

DM Sorus Sp. z o.o.

Spis treści

Rozdział 1	
Marzenie.	9
Rozdział 2	
Panna M. i pan M.	13
Rozdział 3	
Spotkanie z Tomem.	21
Rozdział 4	
Praca w biurze.	27
Rozdział 5	
Ogłoszenie.	31
Rozdział 6	
Przyjęcie w Kongresowej.	41
Rozdział 7	
Spotkanie w hotelu Hilton.	51
Rozdział 8	
Wizyta.	59

Rozdział 9	
Wypadek.	67
Rozdział 10	
Spotkanie z R.	73
Rozdział 11	
Rozstanie.	83
Rozdział 12	
Nowe życie.	89
Rozdział 13	
Arystokrata.	99
Rozdział 14	
Greg.	105
Rozdział 15	
Bejrut.	113
Rozdział 16	
Bomby.	121
Rozdział 17	
Hotel Capri.	129
Rozdział 18	
Ucieczka.	141
Rozdział 19	
Cierpienie.	147
Rozdział 20	
Roże.	155

Rozdział 21	
Wycieczka.	163
Rozdział 22	
Listy.	171
Rozdział 23	
Życzenie?	179
Rozdział 24	
Monako.	185
Rozdział 25	
Nie ma palm.	191
Rozdział 26	
Na Cyprze.	195
Rozdział 27	
Moja prawdziwa przyjaciółka.	203
Rozdział 28	
Rozpacz.	207
Rozdział 29	
Powrót do szpitala.	215
Rozdział 30	
Serce.	221
Rozdział 31	
Bilet do miłości.	225

Rozdział 1

Marzenie

Drzwi do kancelarii prawnej przypominały wejście do Buckingham Palace. Z daleka, bo z bliska czarne płyty starej farby odpryskiwały ujawniając kilka warstw w różnych kolorach. Metalowe pręty w kształcie gałęzi i liści klonowych, pękały w wielu miejscach. Trzymały resztkami sił długie, ciężkie, zmatowiałe szyby. Piękne, stare, zażytkowe drzwi wyły o pomoc, o odrobinę farby.

Pracę w biurze kończyłam o szesnastej trzydzieści. Brnęłam w zaspach śnieżnych, a w listopadowe popołudnie chodniki zawalone były śniegiem z deszczem, miękkim i błotnistym. Mgła i chmury wisiały na dachach okolicznych budynków. Silny wiatr i mróz przełaził przez moją cienką kapotę z kapturem obszytym dookoła sztucznym futerkiem.

W biurze, jak we wszystkich biurach, pachniało papierami i kurzem. Byłam sekretarką. Rzucalam się na stosy papierów, układając je na odpowiednie miejsce i półki. Prawdę mówiąc, praca wciągała mnie coraz bardziej, wtajemniczałam się w sprawy ludzi, którzy nie mogli dać sobie rady z prawem, którzy je nadużywali i tych, którzy po prostu chcieli wiedzieć więcej. Widziano mój zapal, zainteresowanie, szczere oddanie. Nie tylko dla pracy papierkowej, ale także sytuacji ludzi, którzy potrzebowali pomocy prawnej, którzy liczyli na to, że znajdą ją u nas, w naszym biurze. Mieliśmy co robić. Mecenansom

siedzącym przy biurkach wystawały tylko czubki głów, wynurzali się jak z igloo, spod stert papierów leżących wokół nich na biurkach, na parapetach okien, wszędzie, gdzie się dało. Torowali sobie ścieżki, którymi dostawali się w różne strony pokoju. To wszystko nie dlatego, że był aż taki nawał pracy. Przez dłuższy czas brakowało im sekretarki, dlatego capnęli mnie tak energicznie, kiedy tylko się trafiłam. Na pewnej naradzie szef wystąpił z pytaniem, czy nie chciałabym studiować prawa, oczywiście z ich pomocą finansową i na pewno niejeden by się zgodził, ale nie ja. Ja musiałam uciekać...

Odór był straszny, nie do zniesienia. Koleżanka, z którą współpracowałam kopciła papierosy za dwóch, jeden za drugim. Pożerała je, cmokała, ssała je całymi dniami, wyciągała z nich wszystko co mogła i co w nich było. Oblizywała je, bo były bez filtra i wydmuchiwała wyziewy przez szparkę okna, które bez protestów otwierała, mimo zimy i mrozu.

Czasami byłam prywatną sekretarką pana D., szczupłego, wysokiego, dżentelmena, tego samego, który proponował mi studia. Oh, jaki temperament, jaki facet! Pełen werwy, skoczny, energiczny, praca z nim to kalejdoskop, cała moc wydarzeń i kolorów naraz. To był pan D., jedyny, niespotykany. Byłam dumna współpracując z nim. Ręce mi się trzęsły, żeby wszystkiemu podołać. Miałam tylko osiemnaście lat, starałam się jak mogłam. A prezes był szefem, moim królem i trzeba było ułatwiać mu życie, pokazywać się z jak najlepszej strony. Czułam się potrzebna i niezastąpiona.

Przeszłam na drugą stronę ulicy, żeby ominąć błoto. Po tej stronie samochody przejeżdżały nie zwracając uwagi na przechodniów, chlapały bezlitośnie rozpuszczającym się śniegiem z deszczem. Czarne botki z zamszu na wysokiej szpilce nie nadawały się na wilgoć i chlapę. Nie wiedziałam jak mam stapać, żeby ich nie zamoczyć. Zacieki z soli, którą stróże codziennie wysypywali, były nie lada wyzwaniem

do zlikwidowania domowymi sposobami. Jak na przykład gumką-myszką, a potem nad parującą, gorącą wodą z czajnika, żeby włos się podniósł. Ile razy poparzyłam sobie ręce.

Cóż, w końcu czego nie robi się dla piękna rzeczy. Szkoda, że tego piękna nie było dość na półkach w sklepach. Zaglądałam do prywatnych sklepików w okolicy, oglądając ostatnie produkty mody i przy okazji wstąpiłam do sklepu Mody Polskiej. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego ten sklep nazywał się Modą Polską. Kupiłam czarny tusz do rzęs i ulubione perfumy znanej, francuskiej firmy. Nic nie było produktem mody, ani Mody Polskiej, ani polskim. Więc? Wychodząc rzuciłam okiem na włoską koszulkę nocną. Niestety, westchnęłam cicho...

Przeszłam kawałek do przystanku autobusowego, kuląc się i garbiąc z zimna. Na autobus trzeba było czekać czasami godzinę, a rozkład jazdy nie wiadomo co rozkładał. Pod dachami domów towarowych centrum Sawa i Wars, zawsze wiało. Żeby przetrwać oczekując na autobus, najlepiej było znaleźć kącik między wystawami albo za rogiem, gdzie nie ciągnęło i gdzie stało już kilka ukrytych osób. Lepiej jak tych osób co chwilę przybywało, zasłaniali dmuchający ostro wiatr. Najlepiej mieli ci na tyłach, najcieplej, co oznaczało, że najdłużej czekali na autobus, klnąc przy tym szpetnie na wszystko, głośno i ile wlaźło.

Nadjechał wreszcie czerwony, usmarowany, jakoś tak przekrzywiony na jedną stronę, puchający i skrzypiący jelicz ogórek. Nasz polski! Prawdziwy! Nie z Mody, ale ochlapany po dach! Ludzi w środku nie było widać. Szyby pokrywała gruba warstwa błota. Jediną dziurkę na świat miał kierowca. Czasami tylko z jednej strony, całe szczęście tej, po której siedział. Z drugiej, wycieraczka nie funkcjonowała. Pasażerowie w środku też nic nie widzieli. Szyby były zaparowane. Skroplona para cienkimi stróżkami spływała, zatrzymując się na krawędziach okien. Tak komfortowo podróżowałam do domu i do pracy,

codziennie. I wtedy oczekując na mój opóźniony, usmarowany pojazd, przyszła mi do głowy myśl. Tak nagle, zupełnie. Trzęsąc się z zimna, przestępując z nogi na nogę, w krótkiej, czarnej spódniczce i w moich eleganckich, czarnych, zamszowych, na sztyletowym obcasie botkach, o które tak bardzo dbałam. Narodziła się myśl... Właściwie marzenie. Kosztowne. Stojąc i czekając na dawno już opóźniony autobus, kryjąc się za grupką zmarzniętych przyszłych pasażerów, podskakując z nogi na nogę z zimna, chciałam jednego, właśnie tego! Tak! Jak? To jak nie było problemem, ale za co? Nonsens, chyba zwariowałam z zimna. Biłam się z tą myślą, która jakoś tak nagle mnie naszła, owładnęła mną i od której nie mogłam się odczepić. Aż dotarłam do domu.

Przed wejściem na klatkę schodową czekała na mnie panna M. Przez następnych kilka lat spędziłyśmy razem wiele wieczorów i nocy.

Rozdział 2

Panna M. i pan M.

Panna M. była atrakcyjną dziewczyną o długich, kruczych włosach i amarantowych ustach. Uśmiech miała boski i tytuł węgierskiej księżniczki. Może w związku z tym była rozpieszczona i kapryśna. Co więcej można chcieć oprócz urody i tytułu książęcego. Była piękna i cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród adoratorów. Ale nie na długo. Pojawiali się i... znikali. Niechętnie poznawała mnie z mężczyznami, z którymi spędzała czas. Była zaborcza i zazdrosna. Panna M. była tłumaczem przysięgłym, dlatego kontakt miała najczęściej z panami z zagranicy wizytującymi w Polsce w związku z pracą, nauką lub interesami.

Mimo że nazywałam ją moją przyjaciółką to tak dokładnie nie znałam jej historii. Nie lubiła o sobie opowiadać, była tajemnicza. Ja nie lubiłam zadawać pytań, szanowałam jej wolę i prawo do prywatności. Chociaż najbardziej irytowało mnie to, że nie miała do mnie zaufania, jeśli chodzi o mężczyzn.

Inny problem z panną M. był taki, że po paru drinkach w Cristal Budapest, wspaniałej kupie gulaszowej, serwowanej w kokilkach na ogniu i naleśnikach nadziewanych kurczakiem oraz polewanych czekoladowym sosem, zaczynała pleść głupstwa. Jeżeli tylko to, to pół biedy, ale kiedy ona i jej partner znaleźli się w łóżku, rozpoczynała debatę o politycznej treści. Ona półnaga i śpiąca, on ledwo kłapał

oczami, też już nie mając siły, przytakiwał tylko yes, yes. Chciał ją przytulić, a ona rozprawiała się nieudaną oksfordską angielszczyzną. I tak pozostawali do rana. On na dobrym kacu szedł do pracy, a ona dzwoniła do swojej, usprawiedliwiając się, że jest poważnie chora.

Tak było zawsze, kiedy panna M. spotykała wartościowego mężczyznę. Ładowała z nim w łóżku, a potem w negliżu rozpoczynała dyskusję wagi ciężkiej. Kto by to wytrzymał? Może jeden raz, ale kolejne spotkania też nie wróżyły nic lepszego. Więc co robił mężczyzna, kochanek, adorator? Naturalnie wycofywał się z tego układu. Wystarczająco popadł już w koszty super prezentów, wizyt w ekskluzywnych restauracjach, wycieczek za miasto i wycieczek za granicę, nie mówiąc o kwiatkach i szwajcarskich pralinach. Nic, panna M. nie dała się ugryźć.

W ten sposób naprawdę traciła dobre partie, młodych mężczyzn na stanowisku, dobrze sytuowanych i w dodatku przystojnych. Chciała kogoś mieć, a jednocześnie być wolna! Lamentowała, gdy ją zostawiali, ale następny był traktowany dokładnie w taki sam sposób.

Nawet kiedy poznałam pana M. z Turynu. Pan M. był Włochem. Pędził samochodem przez miasto jak wariat. Zawsze szybko jeździł i prawie potrafił moją krawcową, która zamyślona przechodziła przez pasy. Tylko dzięki własnej szybkiej orientacji, uszła z życiem. M. zatrzymał samochód z piskiem opon. W ostatniej sekundzie zahamował. Wyskoczył z auta ratować przechodnia, a krawcowa zszokowana nie mogła z siebie wydobyć słowa. Była cała i chciała jak najszybciej zostawić incydent za sobą, ale on nie dawał za wygraną. Chciał jej to jakoś wynagrodzić. Wyciągał z kieszeni pieniądze, wymachiwał rękami, łapał się za głowę. Krawcowa, zdesperowana, nie chciała mieć z nim nic do czynienia, a on przylepił się jak pijawka.

Jednak pozbierała myśli i parę groszy do kupy, wypatrzyła budkę telefoniczną i zadzwoniła do mnie

– Droga pani Alice – mówiła trzęsącym głosem – niech pani posłucha. Siedziałam w pracy i tego dnia miałam urwanie głowy. Telefony się urywały, petenci jeden za drugim ustawiali się w kolejce, żeby załatwić swoje pilne sprawy.

– A więc niech pani posłucha! – wrzeszczała w słuchawkę.

– Przecież słucham, jak można inaczej przez telefon – odpowiedziałam podirytowana.

– Przyczepił się do mnie jakiś wariat, Włoch, na pasach dla pieszych. I nie chce się odczepić. Prawie mnie zabił, rozjechał, a teraz stoi tu przed budką, wymachuje łapami i nie wiem, co chce. Ja nic od niego nie chcę. Ja się spieszę do pracy. Wiem, że pani zna włoski, więc proszę, niech pani z nim porozmawia. On tu stoi... Bardzo proszę! – dokończyła zdyszana, ze łzami w głosie.

– Dobrze, dobrze, niech się pani nie denerwuje, proszę się uspokoić – starałam się pocieszyć spanikowaną krawcową.

– Proszę dać mu słuchawkę do ucha. Usłyszałam skrzypienie otwierających się drzwi w budce telefonicznej.

– Pronto! – wrzasnął bez opamiętania i pokrótce opowiedział mi całą zajście. Na koniec chciał tylko przeprosić krawcową, ewentualnie pokryć koszty jej strachu, podać swój numer telefonu w razie czego, gdyby coś...

Słuchałam cierpliwie, upewniłam go, że krawcowa nic nie chce, a on uparcie brnął, żeby dostać mój numer telefonu, bo znam włoski, a on jest tu sam, nikogo nie zna i byłoby miło móc spotkać się i porozmawiać... W międzyczasie krawcowa pognęła do pracy co sił w kończynach.

Dałam mu numer do domu. Mama nie była zadowolona, że rozdaję telefony jakimś cudzoziemcom, nie wiadomo kto to jest, może jakiś... Nie wiedziała kto...

No i spotkaliśmy się. Po pracy udałam się do kawiarni Europejska. Tam serwowano najlepsze na świecie szarlotki z bitą śmietaną.

Na fortepianie przygrywał ślepy pianista. Piękne kawałki, czasami na życzenie, a grał wszystko od klasyków począwszy, przez jazz, blues, i czego tylko dusza zapagnęła.

Pan M. czekał już na mnie przed wejściem do kawiarni. Nie można było się pomylić, czy to on, czy nie on. Bez wątpliwości z daleka wyglądał na Włocha. Lekko śniady, niski, tęgi, z czarną czupryną, chociaż tylko nad uszami, czubek głowy był łysy. W beżowym garniturze, białej koszuli, kolorowym krawacie i eleganckich, nowych brązowych butach. Stał obok swojej sportowej alfy romeo, tak jakby robił reklamę tej marce. Oczywiście, że to był ten drań, który prawie rozjechał krawcową!

Podszedł do mnie, przywitaliśmy się. Zaprosił do stolika, który już przedtem zarezerwował. Był sympatyczny, uśmiechnięty, zupełnie inny niż ten w słuchawce. Mówił spokojnie, chwalił moją znajomość włoskiego. Patrzył na mnie tak... dokładnie. Ja mówiłam, a on patrzył. Przeszywał mnie wzrokiem. Jasne, że rozmawiając z kimś patrzymy w oczy, ale on patrzył tak długo, zniewalająco długo. Przeszkadzał mi ten wzrok, krępował, nie podobał mi się. Nie lubię jak faceci gapią się tak, jakby próbowali zapamiętać każdy kawałek kobiety, każdy jej szczegół. Nie wiedziałam, czy chciałby mnie kupić i rozgląda się, co to za towar, czy chciałby wpaść ze mną do łóżka i rozmyśla, jakby to było i buduje scenariusze. Czy jak ten, co chciałby mnie sprzedać? Czułam się niewygodnie.

Być może wysoka, z długimi blond włosami babka podoba się Włochom ogólnie, ale mógłby pohamować się trochę przy pierwszym spotkaniu. Przyjechał do Polski na tydzień, a ponieważ był na kontrakcie z firmą eksport-import, miał wpadać do Polski raz w miesiącu, może dwa. Zapytał, czy możemy się czasami spotykać. To czasami okazało się bardzo często.

Przyznam, że lubiłam pana M. Wszyscy go lubili. Jego znajomości wkrótce poszerzyły się. Zaczynał spotykać Polaków. Rzucał pie-

niędzmi, bo zaczął mieć pieniądze. Zaczynał zarabiać. Podobno nie można mieć wszystkiego i wtedy zaczęło się psuć jego małżeństwo we Włoszech, o którym dowiedziałam się później. Miał też dwoje małych dzieci. Doszła do mnie wiadomość, że żona chciała się otruć. Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej. Nie wiem, co się stało, prawdopodobnie pieniądze przewróciły mu w głowie. Tracił je wszędzie, zapraszał wszystkich na kosztowne bankiety i wycieczki zagraniczne. Najdroższe szampany lały się litrami, taki był pan M., nie żałował pieniędzy. Słyszałam, że dbał o rodzinę we Włoszech, oprócz tego, że go nigdy z nią nie było. Dzieci rosły i nie widziały ojca. Widziały tylko zapłakaną matkę, chorą na depresję i nawet wtedy go nie było.

On kochał Polskę, nauczył się polskiego, poprawnie jak na Włocha. Po latach zrobił się taki polski, że prawie bardziej niż niejeden Polak. Kupił kilkupokojowe mieszkanie w centrum miasta, urządził je drogimi, antycznymi meblami i starymi dziełami sztuki. Nigdy nie pozwolił krytykować nic, co polskie. Najgorsze było to, że dopiero po latach dowiedziałam się, iż pan M. był żonaty, inaczej na pewno nie byłabym z nim w tak bardzo bliskich stosunkach. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, a wszystko rozwalilo się, kiedy zaprosił do Polski swojego włoskiego wspólnika, Ignazio. Mieliśmy urządzić w domu duże przyjęcie. Dla pana I. do towarzystwa miała być panna M. Nawet przypadli sobie do gustu, zjadali bliny z kawiozem i popijali je szampanem, kiedy nagle po kolacji, przy kawie i porządnym ilościach koniaku, wybuchła bomba.

Panna M., mimo że gustowała w panu I., nie miała tego wieczoru intencji erotyczno-seksualnych. Chciała to odłożyć na inny moment. Ignazio napierał, przysiadł się blisko panny M., lizał ją po szyi, dmuchał w ucho, długim, wilgotnym językiem oblizywał policzki, zahaczając i wkładając go jej do ust, wkładał rękę za biustonosz, rozpinając coraz bardziej bluzkę i obnażając jej obfite, napęczniałe piersi,

ale ona twardo stała przy swoim. Chociaż widać było, że chciałaby mieć z nim stosunek natychmiast, nawet przy nas na kanapie, no ale nic z tego kochasiu, to ja decyduję kiedy. Pan I., nie dawał za wygraną i tak jak dwoje nastolatków ściskali się, obmacywali tu i ówdzie, on trzymał rękę pod jej spódnicą, a ona swoją rękę wciskała za pasek jego spodni. Całowali się na kanapie, wijąc jak węże i postępując. Przy następnym z kolei toaście za zdrowie, po jednej wypitej butelce Remy Martin i do pół wypitej następnej, po kilku butelkach szampana, od punktu A do punktu B wynikła dyskusja o wierności i lojalności... Pan I. skomentował, bujając i unosząc lekko do góry i na dół pannę M. siedzącą mu teraz na kolanach.

– Śmieszna jesteś Maria, myślisz, że pan. M nie jest żonaty? Mama mia – rżał jak koń. – On ma do tego dwoje dzieci, które rosną jak grzyby po deszczu. Byłem świadkiem na ich ślubie – śmiał się, aż zaczął kasłać. Panna M. zastygła, przestała się unosić do góry i na dół, a po chwili zsunęła się na kanapę, ciągnąc za sobą rozlazłą, porozpinną wzdłuż spódnicę. Była pijana.

Zapanowała cisza, którą można było kroić nożem. Ja i M. spojrzeliśmy na siebie. Filiżanka z kawą w moim ręku zatrzymała się w połowie drogi do ust. Zbaraniałam.

Panna M. spojrzała na mnie i wydawało się, że na moment wytrzeźwiała.

– Czy to prawda? – jęknęłam patrząc na pana M. Powiedz coś. Jesteś żonaty? Zastygłam czekając na odpowiedź. Patrzyłam na skulonego M., wydawał mi się jakiś stary, gruby, brzydki, oblesny, obrzydliwy.

– Jak mogłeś tak mnie oszukać? – podniosłam głos, chociaż nie chciałam. – Przecież jak papuga powtarzałeś, że mnie kochasz. Jak mogłeś?! Nie wytrzymałam, załamam się łzami.

Skierowałam się do drzwi. Panna M. człapała za mną, zapinając biustonosz wiszący na jednym ramieniu. Nie mogła sobie dać z nim

radę i człapała tak na pół goła, niezadowolona, bo dla niej przyjęcie dopiero się zaczynało. Pan I. podskakiwał za nią, próbował ją zatrzymać przytulając, obejmując, masując jej pośladki. Niewiele brakowało, a ściągnąłby z niej spódnicę i rozłożył na dywanie w korytarzu. Zdaje się, że zatrzymała się na chwilę, pocałowała go namiętnie w usta i podążyła za mną, prawie rozebrana.

Nikt się więcej nie odezwał, panowała cisza. Pan M. siedział w swoim fotelu, nie wstał nas pożegnać. Nie odprowadził nas do drzwi, nie patrzył na nas. Ignazio zapalił następnego papierosa i wyszedł na balkon. Wyszłyśmy. Zamówiłam taksówkę.

Nigdy więcej nie spotkałam Mario, ani Ignazio. Wiem tylko od znajomych, że Ignazio kilka lat później zmarł na zawał serca i to, że po tym nieszczęsnym wieczorze, pan M. nie mógł pozbierać się do kupy. Nie wiem, czy płakał, że nasza relacja się skończyła, czy że związek z żoną też się rozpadł. Czy był nieszczęśliwy? Sam sobie winien, oszukiwał żonę, mnie, na pewno nową dziewczynę też będzie...

Od tamtej pory nie spotykałam się z nikim. Miałam dosyć słuchania pięknych słówek, podwójnego życia, kłamstw i wszystkiego, co się z tym wiąże. Nie znoszę kłamstw! Nienawidzę!

Boże, Boże, jaka ze mnie idiotka! Pukałam się w głowę zastanawiając, gdzie ją podziałam. Gdzie ja miałam głowę? Gdyby nie lekcje klasycznego śpiewu w domu u państwa S., nie wiem, jakbym to przeżyła.

W każdym razie trzy razy w tygodniu brałam lekcje śpiewu u pani S. i jej męża, który akompaniował na fortepianie. Pewnego dnia, zaraz niedługo po incydencie w domu Mario, stał się cud. Mój głos okazał się czysty, wspaniały, mocny i silny, aż kryształowa lampa nad stołem u państwa S. zaczęła się bujać i trząść. Pan S. zawisł nad klawiaturą, tak jakby zamarł, patrząc z boku na żonę, a pani S., obudziła się z letargu, bo nie wierzyła własnym uszom.

– Czy słyszałaś siebie? – zapytała, lekko pochylając się w moim kierunku. Przechyliła głowę, zacierając dłonie i dalej nie wierząc, czy to jawa, czy sen.

– Tak, oczywiście, że słyszałam – odpowiedziałam bąkając i lekko wzruszając ramionami.

– No i co ty na to? – pytała szeroko otwierając usta, podnosząc brwi i dziwiąc się mojej obojętności. Nagle spojrzała na męża i po chwili podnosząc rękę jakby chciała dyrygować, rzekła:

– Kontynuuj, graj! – podeszła do niego lekko popychając go w plecy. – Pospiesz się! Pan S. drgnął, lekko podskoczył na swoim skórzanym taborecie, tak jakby się przestraszył, ale usadowił się wygodnie, przymrużył oczy i położył swoje długie, piękne, wysmukłe palce na biało-czarnej klawiaturze fortepianu. Uniósł wysoko głowę i wyprostował swoje zgarbione, wychudłe plecy. Był dumny z siebie, chyba dlatego, że widział się jako akompaniator przyszłej wielkiej śpiewaczki operowej. Grał i marzył. Śpiewałam przez następną godzinę, wprowadzając państwo S. w totalny, głęboki, szczery podziw.

– Cudownie, znakomicie, tak powinno być, to jest to, czego oczekują znawcy śpiewu operowego, muzycy i słuchacze! – klasnęła w ręce zadowolona stara śpiewaczka. Maszerowała wokół mnie drobnymi kroczkami z wysoko podniesioną głową, jak wielka dama, diva z La Scali.

Wysłałam z lekcji oszołomiona podziwem państwa S. Nie spodziewałam się takich pochwał i trzęsącej się lampy. Myślałam, że państwo S. zaproponują mi pracę w operze, albo będą mogli mi ją ułatwić. Znali ludzi, mieli kontakty. Wystarczyło jedno spotkanie, jedno przesłuchanie, jeden telefon. Może byłabym drugą Marią Callas?

Spotkanie z Tomem

Nie mogłam z nikim się spotykać, zawiodłam się, załamalam. Mario wyprowadził mnie z równowagi. Snułam się jak zjawa, jak cień. Do pracy i z pracy.

Panna M. usiłowała wyciągać mnie na kolejne randki i spotkania. Ale nie dała rady. Zacięłam się. Mario stał mi przed oczami ze swoimi kłamstwami. Żył spokojnie drugim życiem, które urządził sobie z premedytacją, które mu z niczym nie kolidowało, nikt nikogo nie spotykał na ulicy przez przypadek, nie demolował wygodnego, stabilnego życia. Kariera na wysokim szczeblu, życie prywatne bez zakłóceń, porządne konto w szwajcarskim banku. Czego jeszcze można sobie życzyć? Ale sam się wkopał i zapłacił za to rozwodem, rozłąką z dziećmi, rozłąką z przyjaciółką w Polsce. Długo nie mogłam się pozbierać. W końcu dałam się namówić i umówiłam się z panną M. na mieście, miałyśmy wpaść na obiad do restauracji Bristol.

Piękne miejsce, stylowe, eleganckie jak przed wojną. Zespół przygrywał do obiadu, do tańca argentyńskie tanga i wiedeńskie walce. Nie obeszło się bez Johanna Straussa. Stoły nakryte sztywnymi obrusami i serwety na kolana, cienkie i sztywne jak żyłutki. Świeże róże w wazonach pachniały na całą restaurację. O Boże jak ja uwielbiałam to miejsce! No i jaki wybór dań, deserów i szarlotek! Pierwsza klasa,

naprawdę super! Takie miejsca są dobre na depresję. Piękne i z pięknymi rzeczami.

Dla pań nowa, ostatniej mody garderoba, z kompletami butów i torebek. Garderoba oczywiście w jasnych kolorach, żadnych przynębiających czerni, brązów, granatów. Wizyty u fryzjera, kosmetyczki, manikiurzystki, koniecznie. Już nie mówiąc o nowym kolorze szminki, może trochę zbyt wyraźnej, odważnej czerwieni. To wszystko powinno być zalecane przez lekarzy psychologów oraz psychiatrów i przepisywane na receptę. Po co godzinne rozmowy, sesje, analizowanie wszystkiego, co było przykre i co nas zniszczyło. Po co rozkładać to jeszcze raz. A potem stawiać od nowa. Cóż ja mam budować w ciemnej przychodni psychologa, który sam ostatnio przeszedł ciężką sprawę rozwodową, tragiczną śmierć matki, odebrał syna z policji, ponieważ jechał po pijanemu. Córka spotyka się z nieletnim, przyszczytym gówniarzem, wciągającym kokainę, a ją w nałóg. Cóż on może mi pomóc? Kto komu może tu pomóc?

Ciekawe, co by powiedział taki psycholog, gdyby go położyć na kanapie w jego gabinecie i zadawać mu pytania? Nie chciałabym zamienić się z nim na miejsca.

Dobrze byłoby wysyłać pacjentów nad morze, do ciepłego, rozgrzanego słońcem miejsca na świecie, gdzieś na drugiej półkuli. Chętnie sprezentować złoty zegarek marki Rolex z brylantowym cyferblatem. Przy okazji jeszcze wpaść do salonu z samochodami po BMW serii 7. Myślę, że można dojść do siebie po tego typu terapii i stanąć na nogi dosyć ekspresowo.

W Bristolu spędziłyśmy kilka godzin, a zaraz kiedy się rozsiadaliśmy, dołączył do nas jej znajomy zegarmistrz, Julian. No i jego kumpel, jak mu tam było, nie pamiętam... Jeden chudy, drugi gruby.

Jeden siedział i tak dłubał w talerzu, coś grzebał, czegoś szukał w talerzu, pod talerzem, chyba był na diecie, to ten chudy... Być

może miał wrzody na żołądku... A ten drugi pożerał wszystko, wszystko mu smakowało. Zamawiał podwójne porcje, mlaskał, plaskał językiem, a kawałki wypadały mu z ust... W pewnym momencie zrobił się czerwony, ale przełknął. Przez stół poprosił mnie do tańca, kilka razy... i dalej żuł.

Natomiast panna M. powiedziała mu, że jestem głucha, nie słyszę i nie ma co ponawiać zaproszenia. Lepiej siedzieć i jeść, może jeszcze jedną porcyjkę... Tak na wszelki wypadek. Chyba się zorientował o co chodzi, bo odłożył sztucę i zaczął poszukiwania wykałaczek. W końcu nie mógł ich znaleźć i zawołał kelnera. Kelner udawał, że nie słyszy i wcale się nie pofatygował do naszego stolika.

– Czy tu jest jakiś zjazd głuchych, nikt nic nie słyszy, czy co? – złościł się czerwony na twarzy. Na więcej dyskusji nie miał siły, bo był już tak przeżarty i nażarty, że siedział cicho i w nic się nie mieszał.

Chudy zapłacił za rachunek, ciągle spoglądał na zegarek, spieszył się chyba gdzieś. A może to choroba zegarmistrza? Pożegnaliśmy się, gruby ścisnął moją dłoń, na chwilę zatrzymał w swojej, spojrzął na pannę M. i skomentował:

– Bardzo mi było miło, proszę podziękować tej pani za towarzystwo, taka przemiła kobietka, taka śliczna, no, no naprawdę pycha... Szkoda, że nie słyszy. Ja takie babki to pożeram, zjadam na poczekaniu. Ukłonił się, postawił do góry kołnierz u długiego płaszcza i poszedł. Julian pocałował za nim.

Poszliśmy na postój taksówek. Panna M. zaprosiła mnie do siebie do domu na jeszcze jedną kawę. Na wieczór planowałyśmy wyjście do dyskoteki. Jak się bawić to się bawić. Całą gębą!

W każdą sobotę wychodziłyśmy do dyskoteki Bristol. Mieściła się w tej samej zabytkowej kamienicy co hotel, restauracja i kawiarnia. Najlepsze miejsce zabaw, kiedy nie jest się studentem i nie bywa w Stodole albo w Hadesie. Bristol była dla ludzi na co dzień zajętych

w prywatnych sklepach, małych fabrykach, dla cudzoziemców będących w Polsce na kontraktach lub studiach, dla dzieci ambasadorów, dyplomatów, itp.

Oczywiście gościły tam najpiękniejsze panie miasta w towarzystwie lub szukające towarzystwa. My chodziłyśmy tam same, ale szybko spotykałyśmy znajomych z widzenia i dołączałyśmy do zabawy. Oczywiście grano na bieżąco przeboje ABBY, Dr Hook'a, Smokie, Björna Skifs... Te najpiękniejsze do dzisiaj. W barze jak zwykle było tłoczno, część zamawiała drinki i sadowiła się na super wygodnych fotelach, mając na widoku całą salę i taneczny parkiet. Oraz kto wchodził, i kto wychodził. Zwykle było dużo Niemców i Szwedów. Nie wiem, co robili Niemcy, ale Szwedzi budowali hotele i biura na terenie całej Warszawy.

Przylepiła się do nas dwójka Szwedów. Do mnie taki sympatyczny, młody chłopak, który ciągle śmiał się i miał takie równe, białe, czyste zęby. Na imię miał Tom. Nie dawał mi spokoju, ciągle chciał tańczyć, oglądał mnie na wszystkie strony, głaskał po policzku, patrzył na moje świeżo wymalowane długie paznokcie, dotykał moich włosów i był taki zadowolony, że mnie poznał, że aż ślinka mu leciała, jakby chciał mnie posmakować. Trzymał mnie za moje paluszki u rączki i chwilaми myślałam, że padnie na kolana i mi się oświadczy.

Zamawiał drinki. Oboje lubiliśmy gin z tonikiem, z lodem i cytryną. Fajny chłopak, podobał mi się. Pachniał ładnie francuskimi perfumami...

Panna M. siedziała trochę nadąsana, nie wiem, dlaczego. Popijała drinka za drinkiem i jej towarzysz zabawy też. Nie tańczyli. Być może aż tak bardzo w nim nie gustowała.

Zbliżała się godzina druga w nocy i czas było zbierać się do domu. Szkoda, bo chciałam tam zostać na zawsze. Ed, który popijał drinki z panną M., też zerwał do wyjścia. Bo jak się okazało, Tom nie pił,

przyjechał samochodem i zaproponował, że odwiezie nas do domu. Tom i Ed mieszkali razem w wynajmowanym mieszkaniu. Pod dyskoteką stał pontiac, brązowo-złoty, wytworny, błyszczący w światłach latarni.

Zapakowaliśmy się wszyscy. Panna M. z panem E. na tylnym siedzeniu. Pan T. nacisnął na gaz i poleciliśmy jak strzała, szybkim, amerykańskim, sportowym samochodem. Zawsze lubiłam i lubię sportowe samochody. Nie muszą mieć koniecznie sportowej karoserii, ale muszą mieć motor, muszą mieć osiem cylindrów przynajmniej i muszą „chodzić”.

Pan T. zatrzymał samochód. Po wielkich prośbach wyciągnął ze mnie numer telefonu. Nie chciałam mu go dać, ale uparł się. Uparł się jak osioł. Prosił mnie na kolanach, w końcu się zламаłam i dałam mu numer do pracy. Ucieszył się jak dziecko. Panna M. i Ed załatwili sprawę bez komplikacji. On jej, ona jemu, i już. Zdziwiłam się trochę, że tak łatwo poszło, bo na dyskotecę mieli kwaśne miny, no ale dobrze, że się rozkręcili. Po wszystkich pogawędkach w samochodzie, czas było iść do domu. Trochę niechętnie, ale cóż, nie miałam innego wyjścia.